Warszawa, dnia 17 Maja 1862 r. № 20. 5 Maja.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).
Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

PIĘKNOŚĆ ZBRODNIĄ.

(WSPOMNIENIE HISTORYCZNE).

Czytelniczki nasze zapewnie nie bez zdziwienia przeczytają ten dziwnie brzmiący tytuł.

Że piękność, rozbudzając próżność kobiet i ściągając na nie niezliczone pokusy, staje się często ich zgubą, to oddawna już powiedzieli mnodzy moraliści, a świat i życie stwierdzają co dzień ich słowa; ale ażeby ten drogi dar Boga i przyrody poczytanym mógł być kobiecie za zbrodnię, to się niepodobném zdaje. Wieki średnie dostarczyły nam przecież straszliwego przykładu kobiety, zapozwanéj i potępionéj za swą piękność na sroższą niż śmierć sama karę. Smutną tę historję, z archiwów florenckich wyjętą, znaleźliśmy przeglądając dzieła węgierskiego pisarza *Jokai*, a przekonani, że Czytelniczki nasze ze współczuciem czytać ją będą, tu ją dla nich powtarzamy.

Tegoż samego roku, w którym Verde Medici wstąpił na tron toskański, przed kryminalny sąd florencki osobliwa wniesioną została sprawa. W obec sędziów stała kobieta, któréj twarz pokrywała maska, głowę trupią wyobrażająca; cała jéj postać okryta była długą płachtą szarą, a na głowę wsunięty był kaptur, do strasznéj maski tak przytwierdzony, że obojga uchylić było nie podobna. Spojrzawszy na ten dziwny strój, zdało się widzieć przed sobą powstałego z grobu upiora.

Kobieta pod nim ukryta była Rozaura Montalloni. Po raz-to czwarty przywodzono ją przed sąd, oskarżoną o szczególniejszą zbrodnię, o zbrodnię, która stawała się zarazem jéj usprawiedliwieniem i obroną.

Rozaurę Montalloni zaskarżono o to, że była nadto piękną.

Była bo tak piękna, że kiedy wyjrzy przez okno, zaraz tworzy się na ulicy gromada ludu, przez którą jechać ani przecisnąć się nie podobna. Posłańcy zapominają o swoich sprawunkach, urzędnicy książęcy o czekających na nich pracach; stoją tylko i patrzą w nią jak w gwiazdę.

Była tak piękną, że gdy przyszła do sklepów, gdzie się najdroższe jedwabie i klejnoty sprzedają, nikt nie chciał od niéj brać za towar pieniędzy. Każdy kupiec uważał się szczęśliwym, że to czego zażądała, składał u nóg jéj w darze; a co gorzéj,

od chwili kiedy ją zobaczył, stawał się zgubionym człowiekiem, tracił całkiem rozum i głowę.

Była tak piękną, że gdy z lewéj przeniosła się na prawą stronę rzeki Arno, część ta miasta wzniosła się widocznie, a tamta podupadła. Mnóstwo wielkich panów, kupców, a nawet prostego ludu przeniosło się za nią z dawniejszych siedzib swoich.

Była tak piękną, że ilekroć zaszła do blizkiego kościoła *Santa Maria del fiore*, ludzie wszyscy odwracali się od ołtarza, aby na nią patrzéć, a zamiast uspokojenia i pociechy, unosili z sobą do domu niepokój i żądzę.

Ilekroć o poranku rybacy wydobyli z wód Arno jakiego bladego topielca, pewnym być można było, że to jakiś nieszczęśliwy, któremu wdzięki Rozaury spokój odebrały. Ilekroć nocą, w ciasnéj i ciemnéj jakiéjś uliczce, potknąłeś się o zwłoki pięknie wystrojonego młodzieńca, któremu krew z przebitego toczyła się boku, mogłeś być pewnym, że to ofiara zaciętego pojedynku, którego powodem był jeden uśmiech Rozaury. Niejeden ojciec bogaty, któryby długo mógł żyć jeszcze, umierał z trucizny podanéj mu przez syna, którego urzekły jéj oczy, a który myślał, że stawszy się ojcowskich skarbów dziedzicem, łatwiéj podbije jéj serce....

Jednego razu, kiedy w całém mieście głód panował, tłum ulicznego żebractwa i innego ubóstwa, łakomy kawałka chleba, rzucił się raz na pałac Montalbonich, ażeby go złupić. Już, wyłamawszy wrota i pobiwszy sługi, wcisnęli się do środka dworca, gdy wtém z marmurowych wschodów ukazała się zstępująca Rozaura, z rozplecionym złotym, długim włosem, chłodząc drogim wachlarzem zarumienione lica. Na widok jéj zgłodniała tłuszcza stanęła jak wryta, szmer uwielbienia rozszedł się po bladych ustach: zawstydzeni i upokorzeni, ucałowawszy kraj jéj szaty, oddalili się wszyscy spokojnie, zapominając o celu który ich wiódł i o głodzie.

Ojcowie, którzy z jéj powodu postradali synów, po dwakroć skarżyli ją przed sądem, jako tylu nieszczęść sprawczynią—po dwakroć skarżyli ją o jéj piękność.

Sędziowie, wysłuchawszy zaskarżeń, przywoływali przed siebie winowajczynię i przekonywali się, że wszystkie oskarżenia daleko jeszcze od prawdy zostawały. Kiedy im spojrzała w oczy, zapominali że są jéj sędziami, a sługami byćby pragnęli; gdy zapłakała, każdy gotów był ją uniewinnić; a gdy się uśmiechnęła, nieledwie sami siebie winnemi uznać byli gotowi.

Po dwakroć wyrzekli zdanie, że Rozaura jest tak piękną, iż do wszelkiego grzechu doprowadzić może; lecz że cięższym nad wszystko grzechem byłoby karać ją za to.

Trzecim razem sprawa jéj cięższą przybrała postać. Zakochany w niéj podskarbi książęcy, trwoniąc dla przypodobania się Rozaurze niezmierne summy, tak głęboko naruszył powierzoną sobie kassę, że gdy się deficyt odkrył, nie pozostało mu nic innego, jak odebrać sobie życie.

W sądzie, przed który ją jako przyczynę obu zbrodni podskarbiego zapozwano, zasiadało wielu przyjaciół nieszczęśliwego samobójcy, i ci większością jednego głosu skazali ją na równie nieludzką jak niesprawiedliwą karę, to jest najprzód na piętnowanie, a następnie na wygnanie wieczne z Florencji. Przed znanym pałacem Pitti wzniesiono rusztowanie, na którém wykonaną być miała pierwsza część wyroku. Plac cały naokoło zapełniał tłum niezliczony; z okien z dachów, pełno ocz ciekawych zwracało się ku rusztowaniu. Przyprowadzono nieszczęśliwą delikwentkę, i kat ujął rozpalone żelazo, którém miał napiętnować jéj ramię. Ale kiedy zdarłszy z niéj szatę, ujrzał to białe, cudnie utoczone ciało, zapomniał o wyroku sędziów i wiszącéj nad sobą odpowiedzialności, i zamiast rozpalonego żelaza wycisnął na ramieniu pocałunek wrzący.

To zapomnienie się przyprawiło biedaka kata o głowę, ale ocaliło Rozaurę, nikogo bowiem znaléść nie było podobna, coby się ośmielił piec i ranić boleśnie rękę Gracji cudownie utworzone ciało. Co więcéj, wieść o scenie przed pałacem Pitti doszedłszy do wiadomości wielkiego księcia, zaciekawiła go do widzenia Rozaury. Księciem był podówczas Cosimo Medici, człowiek już w wieku, ale łatwo wpływowi wdzięków ulegającego serca; jak więc się domyśléć łatwo, dość było jednego pięknéj winowajczyni spojrzenia, żeby cały wyrok nieludzki na nią wydany skasować. Rozaura Montalboni mogła być teraz swobodnie piękną, nie obawiając się skarg nowych.

Na nieszczęście jéj, Cosimo Medici umarł wkrótce, a po jego zgonie nastąpił młody, zaledwie dwanaście lat wieku liczący Verde.

Książę ten miał osobliwszą przyjaźń dla znacznie od siebie starszego Lorenza Frascati, który od najwcześniejszego jego dzieciństwa bawić się z nim lubił. Objąwszy władzę, wezwał natychmiast młodego przyjaciela tego, studjowaniem malarstwa w Padwie zajętego, ażeby przybył dzielić z nim wszystkie korzyści wysokiego stanowiska.

Lorenzo, jak to u artystów pospolita, był niezmiernie wesół i żywy, wyskokami wesołości swéj i dowcipu zachwycał i porywał książęcego przyjaciela swego. Alić na raz, nie wiadomo czemu, stał

się zamyślonym i smutnym. Dawniejsza jego żywość i dowcip przepadły i na księcia przyszło teraz rozrywać tęskne milczenie druha. Dla tém lepszego zaś rozerwania smutku, którego Lorenzo nie chciał wyjawić przyczyny, wynalazł dla artystycznych jego zdolności długie zajęcie, wznosząc na wybrzeżu rzeki Arno nową kaplicę i polecając mu ozdobienie jéj w malowidła.

Lorenzo wziął się z zapałem do pracy, od białego ranku do mroku zamykając się sam jeden w kaplicy, którą zawierał niemniéj pilnie i wychodząc, jakby zazdroszcząc, żeby ktoś nieskończonych prac jego nie zobaczył. Kiedy przecież jednym razem trzy dni z rzędu pozostał w niéj, nie jedząc ani pijąc, pomocnicy jego przeczuwając jakieś nieszczęście, udali się z wiadomością o tém do księcia.

Wielki książę pospieszył natychmiast do kaplicy, a gdy wszelkie do niéj pukania zostawały bez odpowiedzi, kazał wywalić drzwi i wszedł do środka. Kiedy obejrzał się w około, zadziwił się niemało, widząc ze wszystkich stron uśmiechającą się jedną twarz kobiecą. Tę samą twarz mieli święci, z wieńcem na głowie i palmą w ręku ku niebu ulatujący, i anieli, którzy na ich przyjęcie otwierali obłoki; jawnogrzesznica, za grzechy swe pokutująca, jak i Madonna z dzieciątkiem na łonie. Twarz zaś ta, jak się domyśléć nie trudno, była Rozaury Montalboni. Sam malarz siedział na kazalnicy, obłąkany wzrok wodząc z jednego obrazu na drugi, nie widząc prócz nich nic zgoła, ani nie słysząc co się wkoło niego działo. Stracił rozum, i w tym stanie na całe pozostał już życie.

Wielki książę rozkazał zatrzéć wszystkie obrazy na ścianach, a kaplicę zamknąć na zawsze. Jako zaś jeszcze zbyt był młodym, aby zrozumiéć ile czaru mają w sobie same oczy piękności, przypisując obłąkanie przyjaciela czarodziejskim praktykom Rozaury, polecił ją zapozwać przed sąd oskarżycielowi publicznemu. Żeby zaś ani czarnego oka spojrzeniem, ani lica cudnego uśmiechem nie mogła złamać surowości sędziów, włożono jéj wpierw na twarz ową straszną maskę i ją całą przybrano w odzienie, pod którém nie podobna było dopatrzéć się najmniejszego wdzięków jéj znaku.

— Ty li jesteś Rozaura Montalboni, która czarami swemi równie młodych jak i starych o zgubę przyprawiasz?—zapytał się zamaskowanéj najstarszy sędzia.

— Tak jest, — odpowiedział z pod trupiéj głowy dziwnie głucho i dziko wydobywający się głos.

— Przyznajesz li, że twoja piękność przyprawiła wielu ludzi o utratę życia, spokojności lub rozumu? — było powtórne pytanie sądu.

Trupia głowa tylko niemém odpowiedziała na nie skinieniem.

— Powiedz, byłażbyś w stanie zliczyć wszystkie nieszczęścia, których stałaś się sprawczynią?— ciągnął daléj sędzia.

Na to trupie oblicze nie odpowiedziało ni słowem, ni znakiem; słychać tylko było rzewne szlochania pod obrzydłą, nieruchomą maską.

— Słuchaj więc Rozauro Montalboni, jaki jest na ciebie wyrok sądu. Do końca twojego życia zamkniętą będziesz w samotném więzieniu. Żebyś zaś pięknością twoją nie zdoła przełamać wierności strażników, to maska trupia pozostanie na zawsze przytwierdzoną do twéj twarzy, aby wszystko co cię zobaczy, odwracało się od ciebie z obawą i wstrętem.

Czy piękna Rozaura słysząc ten okrutny wyrok pobladła? czy usta jéj skrzywiła boleść? tego nikt nie widział. Trupia głowa na jéj twarzy pozostała niezmienioną, tylko głośniejszy szloch z pod niéj i drżenie postaci zdradzało cierpienie duszę jéj rozdzierające.

. . . .

Verde Medici rządził krajem lat trzydzieści dziewięć. Po zgonie jego rządy Księtwa objął Cosimo trzeci, a po wstąpieniu na tron, stosownie do powszechnego zwyczaju, rozkazał wypuścić wszystkich więźniów na swobodę. Jeden z urzędników został wyznaczonym do téj czynności, przy czém miał sobie poleconém wywiadywać się, kto był każdy więzień, za co i od jak dawna zamkniony? Z kolei natrafił on i na kobietę, któréj jedyną winą była jéj zbytnia piękność, i która za to wskazaną była do śmierci pod straszną pokutować larwą.

Kiedy ją uwolniono od maski, ukazała się pod nią twarz straszliwie blada i zapadła, przyschniętą do kości i pomarszczoną pokryta skórą, a tak przerażająca, że zdjęta maska mniéj wzbudzała wstrętu od tego żywego oblicza. Potwór ten była to Rozaura Montalboni, trzydzieści dziewięć lat więziona za to, że kiedyś zbyt piękną była!

***

STADO ŻURAWI.

Z krzykiem radosnym, stado żórawi
Leci w dalekie, cieplejsze strony—
A przez bezdrożne niebios zagony
Pan Bóg prowadzi i błogosławi...

I dumki nasze, w cieplejsze kraje
Po bezgranicznym płyną błękicie,
Po nowy pokarm, po nowe życie—
A Bóg prowadzi i pomoc daje...

Wiosenne słońce ziemię oświeci,
Rozleje dary swe dobroczynne—
Na pola swoje, pola rodzinne,
Żóraw-wędrowiec znowu przyleci...

Dla tęsknéj dumki wiosna nie wróci!
Choć świat znów będzie wabić do siebie;
Gdy już raz dumka stanęła w niebie,
Nigdy już swego nieba nie rzuci!...

Józef Moroz.

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

—Wiadomo, że święcone jest u nas najdawniejszym, najmilszym i najrzewniejszym obyczajem; zabytkiem staropolskiéj gościnności i cnót patryarchalnych, wspólnych wszystkim narodom słowiańskim.

Polacy w Paryżu zamieszkali, po pierwszy raz zapragnęli w roku zeszłym powołać rodaków przyjezdnych z kraju i chwilowo albo téż czasowo na naukach w stolicy Francji zostających, na wspólne uczczenie polskiego obyczaju. Liczne towarzystwo, do 600 osób liczące, odpowiedziało wezwaniu szanownego doktora Gałęzowskiego, od którego wyszła inicjatywa tego szczęśliwego pomysłu. Anglik w jakiéjkolwiek stronie świata podróżuje, gdziekolwiek namiot swój rozbija, wszędzie swe narodowe zwyczaje, zachcenia i fraszki nawet przypominające mu ojczyznę zaprowadza; na nieszczęście, my Polacy i w ogólności wszyscy Słowianie, mieliśmy wprost przeciwny gust i usposobienie. Zwykle za granicą i przed obcymi pochopnie unikaliśmy zwyczajów narodowych, a nawet języka, jakbyśmy się wstydzili i wypierali naszego rodowodu. Dziś, dzięki Opatrzności, wszystko się zmieniło. I rzecz godna uwagi, że Francuzi, którzy nas zwykle albo bardzo mało znali, albo za kosmopolitów uważali, albo wreszcie za pupillów i wychowańców germanizmu brać przywyki, dziś zaczynają w życiu naszém i obyczajach dostrzegać plemię słowiańskie, wielkie, szlachetne, bogate we wspomnienia świetnéj przeszłości, brzemienne w nadzieje przyszłości, radykalnie różne, niemające nic wspólnego z mieszkańcami, tak dobrze znanymi wszędzie niemieckiego Faterlandu.

W tym roku nie tylko utrzymał się raz zaprowadzony w Paryżu zwyczaj wspólnego obdzielania się święconém, ale nierównie liczniejsze towarzystwo na jednéj téj uroczystości połączył. Przeszło tysiąc osób pospieszyło na wezwanie gospodyń-Polek, zapraszających na uroczyste narodowe wielkanocne gody. Polacy różne prowincje Polski zamieszkujący, przybyli tu wszyscy poczuciem jedności wiedzeni. Francuzów zaś jednych przyjaźń dla nas, drugich ciekawość lub wrodzona im sympatja dla obchodów przypominających wszelką narodową przeszłość, do liceum w Batignolles zawiodła.

Wspólność uczucia, godność ochocza nieprzymuszona i poważna wesołość rozlały na ten tysiączny zastęp biesiadujących, niewymowny urok, Polki bowiem były spójnią różnorodnych ogniw tego ogromnego łańcucha.

Panie: Czarkowska, Marcelina Czartoryska, Faucher z Wołowskieh, Wołowska z Guerinów, Róża z Mostowskich Sapieżyna, Marja z Mycielskich Sułkowska, Jadwiga z Działyńskich Zamojska Ordężyna, Bogdanowa Zaleska, Panny Marja Sapieżanka i Konstancja Jordanówna, podjęły się obowiązku gospodyń i wyniosły zeń zaszczyt utrzymania świętéj harmonji zgody, wesela i jedności narodowéj wśród licznéj braci różnorodnych rodem, mieniem a nawet i religją.

Francuzi zaproszeni na tę uroczystość, wynieśli również wysokie mniemanie o narodzie tak gotowym do ofiar z przesądów i przebaczenia uraz. Nazajutrz w Poniedziałek, w Paryżu, tym miljonowym grodzie, którego nielada wypadek zająć ogólnie potrafi, o uroczystości obchodzonéj w miejscu poświęconém wychowaniu młodego pokolenia, powszechnie rozmawiano; dzienniki zaś na wszystkie tony, ale w ogóle brzmiące naiwną rzewnością i głębokiém współczuciem, rozpowiedziały *urbi et orbi* o bankiecie Polaków z okazji Wielkiéj Nocy, który bankietem *du Bénit Polonais* nazywają.

—W dniu 23 Kwietnia w kościele *des Missions étrangères* odbył się obrzęd zaślubin drugiéj i ostatniéj córki ś. p. naszego nieśmiertelnego wieszcza, Ad. Mickiewicza, panny Heleny Mickiewiczówny z panem Ludwikiem Hryniewieckim, inżynierem budującym drogi żelazne w Księztwie Luxemburgskiém, byłym uczniem paryzkiéj szkoły centralnéj sztuk i rzemiosł.

Rodacy zamieszkali w Paryżu, bez różnicy stanu i wieku, jakby na uroczystość narodową, zebrali się bardzo licznie na ten obchód i dowiedli, że w umyśle żyjącego pokolenia trwa niezatarta pamięć uwielbienia i wdzięczności dla twórcy nieśmiertelnych dzieł *Walenroda, Grażyny* i *Pana Tadeusza.* A jakkolwiek zapewne dowód przywiązania i pochop ze strony rodaków dla uczczenia zacnéj potomki Mickiewiczów, należy się głównie pamięci nieśmiertelnego wieszcza, to wszakże osobiste przymioty panny Heleny, jéj skromność, uprzejmość, obok szlachetności i wzniosłości uczuć, były niemałą zasługą w oczach tych, co ją znać mają przyjemność, dla oso-

bistego złożenia jéj najszczerszych życzeń i wzniesienia, w chwili tak ważnéj w jéj życiu, gorącéj prośby do Pana Zastępów za jéj pomyślność, jak również młodego, ukształconego i zacnego ze wszech miar młodzieńca, którego jéj serce wybrało.

Pan Ludwik Wołowski, członek Instytutu, w charakterze opiekuna dopełnił ostatniego obowiązku względem zacnéj pupilli i odprowadził ją aż przed ołtarz, gdzie kapłan oddał ją w opiekę najlepszego przyjaciela i opiekuna, jakim jest prawy małżonek, wzywając błogosławieństwa Bozkiego na nowe stadło.

Gdyby życzenia jednomyślne przytomnych wystarczyły dla szczęścia ślubujących, najlepszą przyszłość, mam przekonanie, możnaby nowozaślubionym wróżyć; a to tém więcéj, że zalety ich obojga, młodość, zdrowie i łagodność charakteru, są już pewną rękojmią pomyślności; lecz ponieważ dobra dola w życiu człowieka, obok powyższych warunków, najwięcéj od niezbadanéj Bożéj opatrzności zależy, to w niéj tylko położyć zaufanie można, że szczęsna gwiazda przyświecać będzie państwu Hryniewieckim.

Wśród osób, które zaszczyciły obrzęd zaślubin, zauważyłem Hrabinę z Czartoryskich Działyńską, Marcelinę Czartoryską, Księżnę Gedroić; Panie: Wołowską, Faucher z Wołowskich, Przybysławską, Laurent d'Ardèche, żonę dawnego deputowanego i przyjaciela Księcia Napoleona, Gorecką, starszą siostrę nowozaślubionéj, jenerała Dembińskiego, Hrabiego Ksawerego Branickiego; Panów: Gałęzowskiego, Edmunda Chojeckiego, Grużewskiego, Goreckiego, trzech starszych synów ś. p. Mickiewicza i rodzinę całą państwa Hryniewieckich. Ojciec pana młodego zajmuje przy Księciu Napoleonie posadę kassjera.

Mnóstwo Francuzów, wśród których kilku przyjaciół dworu Księcia Napoleona znajdowało się w kościele Missyj zagranicznych.

W całym tym obrzędzie tchnęła rzewność i powaga narodowéj uroczystości.

---

* * *

Maj, prześliczny Maj! król majówek, zieleni, woni, kwiatów i słowika, za dni dwanaście berło swéj władzy ustąpi Czerwcowi, aby pola okrył kłosami, drzewa owocem, a połowę śpiewającego ptastwa skazał na milczenie. Warszawa korzystając z pięknych dni jego życia, tłumami zwiedza ogród botaniczny, zasiadając trawniki, bo do ławek tylko trafem docisnąć się można; ogród saski głównie zostawiła małéj i podrastającéj dziatwie, wśród pląsów, gonitwy i igraszek, wyciągającéj chciwie rączki do olbrzymich krzaków bzu kwitnącego, z których każdy mógłby dostarczyć sto bukietów do stu pokoików naszych polskich dziewczek. Ale nad kwiatki i ptaszki, nad woń i barwę piękniejsze są te roje małych Warszawiaczków, a ich niewinne gonitwy i zabawki mimowoli przenoszą myśl w daleką przyszłość, kiedy koleją czasu zajmą nasze miejsca i sądzić będą sprawy naszego żywota. Jaka szkoda, że tego roju mrowiącego się życiem, który z naszych malarzy nie przeniesie na płótno! A ma on już i przeszłość swoją i lubi o niéj gwarzyć...

Kiedy we Francji, w spekulacyjnym zapale, zapowiedziano Pamiętniki kata od roku 1685 do 1847, z opisem wszystkich krwawych i okropnych scen, których pamięć bodajby na wieki zginęła w ludzkości; u nas pan Wolf wydał śpiewy historyczne bez nut i rycin, po złp. 4 za egzemplarz, a inni księgarze coraz nowém dla ludu darzą nas wydawnictwem. Czasby tylko był wielki, aby wspominający o nich po pismach perjodycznych, pozbył się raz przecie owych ogólnikowych wyrażeń, chwalących cel i przeznaczenie książki, bez zbadania i rozpatrzenia się w jéj środku. Dawniéj jakoś to uchodziło, ale dziś jest śmiesznóm, nagannóm i szkodliwém nawet takie protektorskie zalecanie rzeczy, któréj się ani zna ani czytało. Kraj podnosi się jak może, garnie się do wszystkiego co niedawno lekceważył, do nas więc należy wspierać go i pomagać, ale prawdą i pracą, nie kłamstwem i lenistwem.

Nowym dowodem tego podnoszenia się, jest otworzone w Kijowie biuro handlowe, kantor komissowy i czytelnia przez Korwina Hr. Krasińskiego. Dawniéj, a nawet bardzo niedawno, szlachcic wstydził się dotknąć łokcia lub kwarty, dziś hrabiowie zapisują się do zgromadzeń kupieckich. Dawniéj na hypotekę trudno było dostać pieniędzy, dziś Towarzystwo Dobroczynności przygotowało projekt kass pożyczkowych dla biedniejszych rzemieślników *na słowo* wyrzeczone w obec dwóch przyprowadzonych świadków. Myśl to niezmiernie zacna i poczciwa, bo i ułatwia pożyczkę i podnosi godność moralną pożyczającego; a choć w pierwszych chwilach może nastąpią pewne straty i zawody, zrażać to jednak nie powinno, czas bowiem ureguluje wszystko, złych i słabych zawstydzi i zmusi do poprawy, dobrych umocni i pokrzepi. Wprawdzie, *słowo* giętki to niezmiernie wyraz, i dziś w potocznie prowadzonéj rozmowie więcéj wygląda na przysłowie, jak na honorowe zapewnienie, ale inaczéj się ma z uroczystém jego wyrzeczeniem. Czarnogórcy schwytanym Turkom w obecnie prowadzonéj wojnie, odbierając słowo honoru, że więcéj walczyć przeciw nim nie będą, obcinają

na znak.,. nosy; gdyby zwyczaj ten u nas zaprowadzono, przy każdém dawaniu słowa musielibyśmy od stóp do głów okryć się nosami, a i tak nie wiem czyby na jeden dzień wystarczyły.

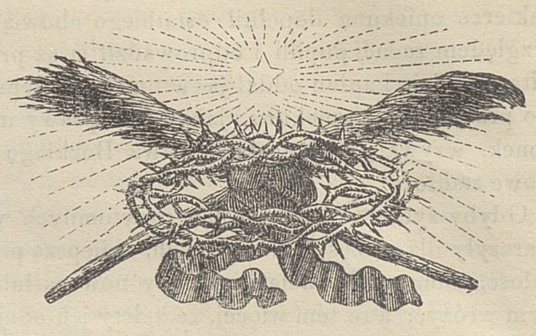
Gdy tak Czarnogórcy szastają tureckiemi nosami, Nicejczycy ulubione swoje śpiewaczki obrzucają całemi ogrodami kwiatów, przesadzając się w ich doborze i ilości. Na ostatniém przedstawieniu pan Bertyni wyrzucił kwiatów za franków 1,200, w drugim akcie pan Pozzi putnął ich sobie za franków 1,500, czém tak zarzucono scenę, że przed ukończeniem przedstawienia musiano sprowadzić ludzi z miotłami i taczkami, aby choć kawałeczek miejsca próżnego dla grających artystów przysposobić. W Meksyku i nosy i kwiaty zostawiają w spokojności, ale za to kobiety zajmują się tworzeniem oddziału wojskowego, złożonego z samych kobiet, co podobno Europie ogromnie poszło po nosie. Gdyby hufiec tych amazonek dostarczono na wystawę w Londynie, byłby to podobno okaz najciekawszy i najwymowniejszy naszéj chrześcijańskiéj cywilizacji. Anglja za tę wystawę połknie miljony, ale czém nakarmi dwa miljony swoich robotników, z braku dowozu bawełny zagrożonych nędzą i głodem? Kiedy bowiem w roku 1860 sprowadzono do Anglji bawełny centnarów 1,626,000, dowóz ten w r. b. wyniósł tylko centnarów 2,656. Cyfry nieraz straszliwe zawierają prawdy.

ODGADNIENIE.

27	42	23	40	15	48	17	52
24	39	26	47	22	51	14	49
43	28	41	4	61	16	53	18
38	25	44	21	46	19	50	13
29	34	3	62	5	60	9	54
2	37	32	45	20	57	12	59
33	30	35	6	63	10	55	8
36	1	64	31	56	7	58	11

Podań naszych wiek sędziwy,
Jam ukochał, pełen cześci;—
Chodźcież stare cuda, dziwy,
Staréj naszéj przypowieści,
Chodźcie ożyć w mojéj pieśni
Choć na chwilę, na chwil parę,—
Nim z kolei późniéj, wcześniéj,
Inne piosnki będą stare.

Wyjątek z Prusinowskiego, z Podań ludu, Przedmowa.



Suknie krótkie i powłóczyste.—Suknia czarna bareżowa.—Suknia żaknotowa.—Suknia perkalowa.—Paletot ze spódniczką.—Garybaldka z gipiurą.—Kapelusze: włosiany, tiulowy i okrągły słomkowy.—Suknie nowe z odpasowanym szlakiem.—Chustka z bareżu *Grénadine.*—Szale kaszmirowe.—Chustki rypsowe.—Szale *mousseline de laine.*—Kamloty, orleany, alepiny.

Ostateczności stykają się z sobą—jest to uznana prawda; nigdzie jednak nie uderza nas tak wydatnie, jak w rzeczach mody. Dziś naprzykład w Paryżu, zkąd wszelkie mody wychodzą, obok sukien powłóczystych, jakie powszechnie noszą do ubrania, zaczynają się pojawiać suknie krótkie za kostki, z pod których widać nie tylko cały bucik, ale i część pończochy. Suknie takie a raczéj spódniczki, z małemi paletocikami lub garybaldą, używane są tylko w domu albo na wiejską przechadzkę. Co do nas jednak, sądzimy, że taka moda nie znajdzie zwolenniczek pomiędzy Polkami, których ubiór powinien być nacechowany powagą. Przyznajemy, że zwłaszcza w lecie, suknia zbytecznie długa niewłaściwa jest na ulicę, ale przeciwna ostateczność byłaby nierównie gorszą; trzymajmy się też średniéj drogi, unikajmy przesady, i niechaj rozsądek przewodniczy nam tak w ubraniu, jak w każdéj okoliczności—nade wszystko zaś pamiętajmy, że w chwilach kiedy naród dojrzewa, i kobiecie nie wolno już być dzieckiem.

Przy panujących ciepłach, wszyscy myślą o letniém ubraniu; uważaliśmy też w magazynie panien Kuhnke kilka ładnych a skromnych sukienek, zasługujących na szczegółowy opis.

Suknia czarna z bareżu *crinoline,* miała u dołu dwie fałdowane falbanki, jednę szeroką na ćwierć łokcia, drugą powyżéj trochę węższą. Nad temi falbankami wyszyty był deseń grecki wstążką czarną Nr. 4. Stanik przyfałdowany wkoło do karczku, zapinał się z przodu na małe guziki lawowe. Karczek naszyty był wstążką w deseń grecki i zakoń-

czony zwróconą na dół falbaneczką z bareżu, w miejscu gdzie się schodził z niższą częścią stanika. Rękawy szerokie w górze, zupełnie obcisłe u ręki, przymarszczane były od spodu, z wierzchu zaś tworzyły jakby klapę ogarnirowaną falbanką. Szeroka szarfa jedwabna zakończała z boku staniczek. Do téj sukni dodany był szal bareżowy czarny, zwany *plaid Eleonor*, naszyty wstążką w deseń grecki; z tyłu przepięcie tworzyło kapturek, przybrany czterema kokardkami.

Suknia żaknotowa czarna w biały rzucik, miała u dołu karbowany wolant szeroki na półtory ćwierci; wolant ten od lewego boku zakręcał się w górę pod prostym kątem, i dochodził do pasa zwężając się coraz bardziéj. Staniczek krzyżowy zapięty był z boku i w miejscu wykroju zakończony karbowaną falbanką. Rękawy otwarte, ogarnirowane były tak samo u dołu i przez środek.

Suknia perkalikowa czarna w białą kratkę, kończyła się falbaneczką wązką na palec, przytwierdzoną na szwie pletnią kamelerową czarną. Stanik zwany *postillon* tworzył z przodu jakby kamizeleczkę połączoną z otwartym kaftanikiem; plecy odznaczone na boczkach i znacznie przedłużone, kończyły się długim karoczkiem. Część stanika tworząca kaftanik, ogarnirowana była wązką falbanką; część zaś tworząca kamizeleczkę spinała się na guziki z perłowéj konchy. Rękawy ścięte jak u paletotów, miały wyłożony mankiet, z falbanką. Na spódniczce odznaczone były kieszonki.

Negliż perkalikowy ciemno-popielaty, składał się ze spódniczki i krótkiego paletocika. Spodniczka miała z przodu dwie odwrócone falbanki, w środku zaś rzęd rogowych lekkich guzików. U paletocika kołnierz przedłużony był z przodu i tworzył po bokach wyłożenie (renvers) dochodzące do dołu. Wyłożenie to równie jak kołnierzyk, objęte było falbaneczką. Wszystkie falbanki kończyły się w górze czarną plecionką kamelerową, co je bardzo ładnie odznaczało. Rękawy szerokie u góry, były daléj zwężone tak, żeby tylko ręka przejść mogła, kończyły się odwiniętym mankietem z falbaneczką.

Podobała nam się bardzo w tymże magazynie koszulka garybaldka z *mousseline de laine* czarnego. W miejscu zwyczajnego wyszycia z przodu, szły trzy rzędy wszywki czarnéj gipiurowéj, podłożonéj białą wstążką. Na ramionach przechodziły takież paseczki, równie jak na obcisłym mankieciku; guzików nie było wcale. Kołnierzyk stojący z gipiury podwleczonéj wstążką, zakończał koszulkę u szyi, u dołu wszyta była w wązki pasek.

Z pomiędzy kapeluszy zwrócił uwagę naszą czarny włosiany, w białe wązkie paseczki; na wierzchu ronda była wielka kokarda z wstążki czarnéj z białym brzeżkiem; podpięcie składało się z czarnych kwiatków nad czołem i czarnéj mocno nafałdowanéj koronki, a z białéj blondynki po bokach.

Strojniejszy od tego jeszcze był kapelusz czarny tiulowy namarszczony, przybrany na wierzchu ronda czarną krepą, która odwrócona od spodu kapelusza, tworzyła zarazem podpięcie. Karczek pokryty bufą krepową, w środku przytwierdzony był bukiecikiem z czarnych kwiatków i trawki stalowéj; takiż sam bukiecik wpięty pod rondem między krepą, trochę ku lewéj stronie, ślicznie odpowiadał całości; podpięcie z boków było zupełnie czarne, równie jak i szarfy.

Ładny też był kapelusik słomkowy *Impératrice*, z rondkiem okrągłém, zakończoném z brzegu czarną koroneczką; na samym środku zdobił go pęczek krótkich piór strusich; pod brodą nie było szarf, tylko elastyka. Cena jego złp. 62. W ogólności, wszystkie tegoroczne kapelusze, czy to okrągłe, czy zwyczajne, odznaczają się tém, że mają wierzch ronda wysoko przybrany piórami lub wstążką.

Widzieliśmy u pana Szlenkera nowy zupełnie rodzaj sukien z pięknéj tkaniny wełnianéj, mieszanéj z jedwabiem, nakształt popeliny. Są one zupełnie gładkie, tylko u dołu szlak czarny gładki, szeroki na ćwierć łokcia, stanowi całą ich ozdobę. Podobne odpasowanie znacznie węższe, dodane jest do ozdoby stanika i rękawów. Suknie te stanowią wielką nowość téj wiosny. Dodają do nich takież same chustki czworograniaste, z czarnym gładkim szlakiem dokoła. Cena sukni razem z chustką złp. 220, są jednak między niemi znacznie tańsze, wlżejszym gatunku.

Zwróciły też uwagę naszą w tym magazynie piękne chustki *Barège-grenadine* czarne z białym szlakiem, zakończone frendzlą w tychże kolorach.

W magazynie pana Kwiatkowskiego widzieliśmy wielki zbiór szalów kaszmirowych czarnych, w cenie złp. 96, i chustek wynoszących połowę téj ceny. Są także piękne chustki czarne rypsowe, miękkie i układne, po złp. 50, i długie sześciołokciowe szale *mousseline de laine* po złp. 66 gr. 20. Te ostatnie powinny mieć powodzenie na lato, gdyż są lżejsze od kaszmirowych, a przytém znacznie tańsze.

Tenże magazyn przysposobił wielki zapas ładnych perkalików angielskich w drobny desenik, podobnych zupełnie do fularu. Szerokość ich $5\frac{1}{2}$ ćwierci; cena złp. 2 gr. 8. Są tam również ładne fulary na złp. 8 i 9, oraz wszelkiego rodzaju kamloty, orleany, alepiny czarne, w cenie od złp. 3 gr. 10 do 6 gr. 20.

Podobała nam się w tymże składzie bardzo pię-

kna tkanina wełniana czarna w drobne prążki, na okrywki i burnusy; szerokość łokci 3, w cenie złp. 26 gr. 20 łokieć.

Nowości Zagraniczne.

Journal des dames et des demoiselles.—Wyroby wiosenne widziemy wszystkie w małe desenie: jedne są w drobne paski, drugie w rzucik albo w kratkę. Paski szwajcarskie największego używają powodzenia, robią je z materji jedwabnéj albo aksamitu, obszyte naokoło koroneczką lub falbanką wąziutką; do niektórych dodają jeszcze szelki i wyszywają czarnym sutaszem. Kapelusze zarówno noszone są okrągłe jak zwyczajnéj formy, które po większéj części wyrabiają ze słomy belgijskiéj albo włosia. W tych dniach widzieliśmy ładną bieliznę, uszytą na wyprawę dla zamożnéj osoby. Koszule dzienne miały karczki złożone z drobnych zakładek i wstawek haftowanych; inne były tylko haftowane. Prześcieradła cienkie miały haftowany szlak nad obrębem albo drobne zakładki, poszewki odrobione były odpowiednio.

SPINKI, AGRAFKI, BROSZE.

W sklepie galanteryjnym pana Drewsa (ulica Senatorska, obok kościoła Kanoniczek) znaleźliśmy znaczny dobór gustownych wyrobów z lawy lub stali, a mianowicie: spinek, agrafek, łańcuszków, broszek i t. d., o których widziemy się w obowiązku wspomnieć słów kilka.

Między spinkami różnéj wielkości i kształtu, podobały się nam szczególnie spinki wielkości grosza lub mniejsze, wyrobione z lawy, mające obwódkę z emalji białéj lub w oprawie srebrnéj. Spinki te służą tak do toalety damskiéj, jako też do rękawów u koszul męzkich; sztuka po 50 groszy. Takież spinki stalowe gładkie, glansowe, z obwódkami ciemnemi, lub też z wyrytemi ozdobami różnemi; garnitur damski, składający się z dwóch sztuk, kosztuje od 4 złp. do 6 złp. gr. 20, co zależy od wielkości lub kształtu. Oglądaliśmy tamże wielką ilość różnych spinek w ogniu złoconych, oksydowanych, z różnemi fantazyjnemi godłami, w cenie od 4 do 13 złp; spinki nowego pomysłu do krawatów męzkich, po złp. 3 gr. 10; daléj śpilki stalowe do krawatów męzkich, z łebkami w kształcie podków, łbów końskich, biustów, węzłów lub technicznych godeł, jak: linij, kątów, młotów, śrub i t. d. (od 5 do 13 złp.).

Przede wszystkiém zaś zwracają tam uwagę agrafki (a poprostu sprzączki do paska), broszki, kolczyki, łańcuszki, bransoletki, bądź z lawy, bądź ze stali. Te ostatnie ślicznie wyglądają, mianowicie tak zwane brylantowane, to jest szlifowane w drobne kanciki. Agrafki kosztują od 6 do 10 złp. Broszki z ozdobami aluminiowemi, w kształcie gwiazd, wężów lub innych fantazyjnych ozdób, kosztują od 2 do 12 złp. Bransoletki od 10 do 13 zł. Kolczyki z bawolego rogu, w kształcie zachodzących na siebie dwóch kół, ze srebrnemi lub złotemi uszkami, od 5 do 9 złp. Spilki do włosów z lawy, zdobne w węzły lub wieńce, od 4 do 6 złp. para. Łańcuszki do zegarków ze szmelcowanego żelaza, z agrafką i broszką lawową, kosztują po 15 złp. Proste łańcuszki stalowe lub ze szmelcowanego żelaza do zegarków dla mężczyzn, od 3 do 5 złp. Wreszcie godne są uwagi prześliczne broszki stalowe lub z lawy, przeznaczone do oprawy w nie fotografowanych portrecików. Są mniejsze i większe, w cenie od 6 do 18 złp.; stalowe tańsze.

Nieskończylibyśmy rychło, gdyby nam przyszło wymieniać różne ozdoby toaletowe, w które obfituje sklep pana Drewsa, zwłaszcza iż go ciągle odnawia świeżemi nadsyłkami, dlatego wspomniemy tylko dla amatorów tytuniowego dymu, iż oglądaliśmy tam ładne fajeczki francuzkie drewniane, na króciutkich cybuszkach, tak zwane *Bruyères*, z obsadkami bursztynowemi lub rogowemi, w cenie od 2 złp. gr. 15 do 5 gr. 15; wykładane zaś massą piankową od 7 do 14 złp. Znaczny tamże widzieliśmy zapas cybuchów tak zwanych antypkowych lub sakłakowych, średniéj wielkości, od 2 do 5 ćwierci łokcia, z bursztynkami i korkami w końcu, po cenach (w stosunku gdzieindziéj praktykowanych) bardzo umiarkowanych, bo wynoszących 6—12 i 16 złp.

Opis ryciny.

Fig. 1. Ubranie negliżowe. Szlafrok kaszmirowy, garnirowany falbanką w kontrafałdy ułożoną. Przy wypuszczonéj główce przechodzi aksamitka czarna. Plecy fałdowane u góry do karczka, wolno spadają; przednia część stanika zupełnie gładka, przepasuje się sznurami przyszytemi do boków. Rękawy wpółotwarte, przecinane przez łokieć i garnirowane falbanką. Spódnica perkalowa, przyozdobiona medaljonami haftowanemi i rozetami z nanzuku, obszytemi wązką koroneczką. Kołnierzyk i rękawki muszlinowe. Czepeczek muszlinowy ze spuszczoną bufką, garnirowany falbanką i wąziutką koroneczką.

Fig. 2. Suknia jedwabna w krateczkę i rzucik, przybrana u dołu pęczkami z gładkiéj fałdowanéj materji, drugi rząd garnirunku formuje tunikę. Stanik gładki, wycięty czworograniasto à la Rphaël, przyozdobiony ruszą, zapina się z przodu na gaziki. Rękawy składają się z trzech buf i mankieta wpółotwartego. Szmizetka i rękawki muszlinowe. Siatka grecka z plecionki jedwabnéj.

KORRESPONDENCJA.

Na kościół Marjawitek w Częstochowie odebraliśmy:—od Ce. Gru... złp. 33 gr. 10.—Od C. K. w K... następujące przedmioty: igielnik, nożyczki, pierścionek, kolczyki i granatki.—Od A. T... na ten sam cel złp. 6 gr. 20.— —Panu J. J. w Kul...—Powóz i fortepian odsełamy wskazanym nam furmanem, ale ten dopiero 20 b. m. odjeżdża.— —Fanl Ka. Wro...—Garnitur mebli o jaki się zapytywano, kosztuje złp. 1,800.— —Pani J. Cho. z Dzięcio...—Od kupna zabawek pozostało złp. 9 gr. 29.— —Pani Zo. Prei...—Biała morowa parasolka kosztuje złp. 66 gr. 20.— —Pani Star...—Kołnierzyki do koszul małych chłopczyków takiego samego są kroju jak dla dorosłych mężczyzn.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka z modami.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK



TYGODNIK MÓD

Dodatek do Nru 20 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 17 Maja 1862 roku. *5 Maja.*

PANI Z POD GWIAZDY.

POWIEŚĆ PRZEZ

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

— Wyrosła, zmieniła się... alem i nie patrzał na nią, raczéj miałem zawsze przed oczami owo czerwone, ogorzałe, pękate dziewczę. Rozmawiałem z nią przymusowo i nudziła mnie wielce. Widziałem, że gra na fortepianie, alem nie słuchał wcale. Słyszałem, że rozmawia... ale to wszystko obchodziło mnie tyle, co swiegot wróbli po za oknem; w myśli mojéj żyła i skakała jedynie *sylfida*. Prócz niéj nic innego widzieć nie chciałem. Zawiozła mnie tam matka raz, drugi i trzeci, mustrowała mnie... i w imieniu mojém *konkurencyą* prowadziła. Koniec końcem, nie umiałem oprzeć się jéj woli, oświadczyła mnie... i ujrzałem pierścionek panny na moim palcu. Matka zarządziła sama ozdobienie mieszkania mojego w Przysieku i sprowadziła obicia, meble, piece, rzemieślników, i dała mi dość znaczną sumę na *ekwipaż* i przeróżne inne a potrzebne w takich razach wydatki. Poleciałem do Warszawy... i pierwsze kroki moje były do Klarysy. Przyjęła mnie czule, pieszczotliwie, zalotnie. Zamilczałem o mojém projektowanem małżeństwie, rozszalałem bardziéj jeszcze i postanowiłem zerwać z panną Rowicką. Zabawiwszy dni kilkanaście w Warszawie, wyjechałem w Płockie za kupnem koni. Zabawiłem tydzień; wracam znowu do Warszawy... i spotyka mnie wiadomość, że książe X. wyrugował mnie z serca mojéj zdradzieckiéj *Sylfidy*, i że z nim do Krakowa pojechała. Rozumiałem, że oszaleję, marzyłem o samobójstwie... a potém wyrzekłem: „że na złość jéj ożenię się!“ — i z pośpiechem do Przysieka pogoniłem. Matka tymczasem dworek mój urządziła, jak pieścidełko. *Ekwipaże* były gotowe.... dzień ślubu nadszedł. Zrana owego dnia pamiętnego, odbieram list od Klarysy, pełen miłości, wymówek; zwaliła wszystko na jakieś potajemne intrygi, że zaledwie z widzenia zna księcia X.; że odwiozła siostrę do Krakowa i t. p. Pierwsza myśl moja była ślub porzucić i do Warszawy polecieć... Ależ matka! Toby ją zabiło!... Złorzeczyłaby mi!... Płakałem jak dziecko. Matka nadjechała, bo Przysiek leży pomiędzy Sękocinem a Radziszewem, i niby baranek ofiarny wsiadłem do landary... Ślub nastąpił. Było na nim nieduże, tylko rodzinne grono.

— Ależ do licha, czy państwo Rowieccy nie dostrzegli o ile przymusowym byłeś kochankiem i narzeczonym?

— Matka spędzała wszystko na wrodzoną mi nieśmiałość. Zresztą, brałem się, jak to mówią, w kupę; to z rozpaczy po niewiernéj kochance, to z obawy przed matką i dla jéj miłości. Lecz wracam do opowiadania dalszego. Po herbacie zaszły powozy. Widziałem tylko, że panna Michalina płakała bardzo, rzucała się do nóg rodzicom i w ich objęcie; że już nie miała sukni białéj, ale jakiś szafirowy szlafroczek... A potém ujrzałem się obok niéj w powozie. W drodze płakała jeszcze. „Nie płacz pani“ wymówiłem, bo przecież potrzeba było coś powiedzieć, i musiałem przy tém bardzo głupią mieć minę, czułem to sam. Potém znowu umilkłem, zamyśliłem się i byłem całą duszą przy Klarysie, i anim już zważał czyli Michalina płakała lub nie. Po długiéj chwili, gdyśmy przez wieś którąś jechali, prosiła o szklankę wody. Kazałem stanąć, sam wysiadłem... a lokaj zaniósł jéj wodę, pojechaliśmy daléj. „Pan jesteś taki blady“ wymówiła, a ja odrzekłem: „Mam straszny ból głowy.“ I jużeśmy jednego nie zamienili słowa. Była noc ciemna, gdyśmy w Przysieku stanęli. Przede dworem czekała nas moja służba i panny Michaliny. „Powiem dobra noc“ ozwałem się do niéj, wszedłszy do pokoju, „bo muszę przejechać się konno; jest to moje lekarstwo na ból głowy.“ „Dobra noc“—odrzekła. Wybiegłem, odetchnąłem wolniéj, dopadłem wierzchowca, i daléj w pole! Nazajutrz dopiero około południa wszedłem do pokoju, gdziem już panią moją zastał.

— Może pani pozwolisz oprowadzić się po domu i po ogrodzie?—zapytałem, czując że jéj przecież należy się jakaś względność: że ona w tém co się stało, zupełnie jest niewinną.

— Owszem, proszę pana — odrzekła.

— Obeszliśmy dom, ogród i gospodarcze budynki. Podano objad. Po obiedzie znowu przejechałem się konno. Na herbatę zaprosiłem rządcę swojego, i rozeszliśmy się razem, tak że z Michaliną już i jednego słowa nie mówiłem sam-na-sam. Nazajutrz był proboszcz parafii mojéj u nas na objedzie, i czas znowu tak jakoś zeszedł. Dnia trzeciego przyjechała matka moja, miała wiele do zarządzenia, do pouczenia młodą panią, a na mnie mało zważała. Byłem grzeczny o ile mogłem. Stan ten nienaturalny, sztuczny, przymuszony, był wszelako nieznośniejszym nad wszelki wyraz. Więc téż postanowiłem temu wszystkiemu koniec położyć. Niepodobna było zwodzić Michalinę... miałem litość nad nią... Wieczorem odebrałem list drugi od Klarysy, i zawołałem: „Zerwę wszystko od razu!“ Udałem się do Michaliny pokoju po odjeździe matki. Zastałem ją samą i czytała. Na mój widok zbladła, odłożyła książkę, i coś tam przemówiła, lecz ani wiem co. Przeszedłem się parę razy po pokoju. Potém, zebrawszy całą odwagę, wtedy nazwałem to *odwagą*, a dziś *bezczelnością*... całą wypowiedziałem jéj prawdę, żem tylko wolę matki spełnił, żem jéj nie kochał nigdy; że serce moje inna posiada i t. p., dotkliwe i raniące przykrości.

— Biedaczka! — zawołał Michał ze szczerém współczuciem i oburzeniem.

— Zbladła trupio — ciągnął dalej Leon, a sam był blady i cierpiał widocznie, lubo że to chciał pokryć, umilkła na chwilę... a potém stłumionym wymówiła głosem.

— Należało się wszystko wyznać przed matką... a ze mnie nie czynić ofiary — odwróciła się i wyszła.

— Nie widziałem jéj dnia tego więcéj, pogoniłem w pole i dopierom nade dniem powrócił. Nazajutrz, około, południa, przybyli państwo Rowiccy, przyjąłem ich jako grzeczny gospodarz, z uczuciem *delikwenta* w duszy. Michalina wyszła z matką, nie było ich przez godzin parę, a gdy wróciły miały obiedwie zapłakane oczy. Pan Rowicki wszelako nic nie uważał. Pod wieczór odjechali, a nazajutrz przysłała Michalina swoją pannę do mnie, że sobie życzy do Radziszewa pojechać. Kazałem natychmiast konie zaprządz. Wszedłem do pokoju, zastałem ją gotową, i pannę służącą także. Oczewiście, że mi nie zaproponowała, ażebym z nią jechał. Pawóz zaszedł, wyprowadziłem ją, wsadziłem, i odjechała. W parę godzin potém odebrałem przez konnego posłańca list od pana Rowickiego, zawierający te wyrazy: „Córka moja nie wróci więcéj do Przysieka. A w krótce nadeślę panu unieważnienie ślubu.“ Nieczekając co stanie się daléj, napisałem list do matki, wyspowiadałem się ze wszystkiego i oświadczyłem, że bezzwłocznie za granicę wyjeżdżam. Ukorzyłem się przed nią, błagałem o przebaczenie, i do Warszawy pogoniłem. W mieszkaniu Klarysy oznajmiono mi, że wyjechała do Drezna. Wziąłem pasport na trzy lata i poleciałem za nią. W Dreznie zastałem ją z księciem X... i z przeklęstwem na ustach, z rozpaczą w sercu, popędziłem daléj, bez celu. Wreszcie udałem się do Karlsbadu, chorowałem, żyłem jak odludek... długom chorował. Świat obmierzł mi, wszędzie tylko zdradę widziałem... pragnąłem śmierci. Podniósł mnie wszelako list matki, zaczynający się od wyrazów: „Co się stało, odstać się nie może,“ przebijał w nim żal, zmartwienie, ale żadnych nie czyniła mi wyrzutów, przebaczyła!... O Michalinie żadnéj nie czyniła wzmianki, a w końcu dodała: „Pobyt twój za granicą na czas dłuższy, uważam w obecnych okolicznościach jako niezbędny. Pisuj mi często, a szczerze. Napisz gdzie zimę przepędzisz.“ Nieco późniéj odebrałem unieważnienie ślubu mojego z panną Michaliną Rowicką, i na tém skończyło się wszystko. Cztery lata zmarnowałem za granicą: we Włoszech, we Francyi, w Szwajcaryi, a teraz do kraju powrócę, serdeczną wiedziony tęsknotą. Źle wyraziłem się wszelako, żem lata te zmarnował, bo raczéj wielką dla mnie były nauką, szkołą przewielką. Przestałem całkiem być *jedynakiem* i wracam o lat dwadzieścia starszy i doświadczeńszy.

— Ależ to jest dziwny, nadzwyczaj dziwny stosunek! — zawołał Michał.

— Fatalny! Pojmujesz zatém, że dzisiejsze tak niespodziane spotkanie Michaliny, strasznie mnie podraźnić musiało.

— Pojmuję, och, zapewne!

— I powiedz, możeż tu dłużéj zabawić?

— Owszem, radziłbym to nawet jako konieczność: zamieszkujecie jednę okolicę; pani Michalina zapewne u matki twojéj bywa; spotykania się w sąsiedztwie mogą być częste, i zawszeż macie przed sobą uciekać i ludzi bawić? Raczéj tutaj do widoku wzajemnego nawykajcie, jako też i do waszego zobopólnego a dziwnego położenia i stosunku.

— Ha! Może w tém jest i słuszność. Ale jakżeżby *ona* to uważała!

— Zobaczymy. Potrzeba porozumieć się z Komelskim, skoro tylko powróci. Pierwsza scena w sąsiedztwie, na parafii, stałaby się głośną, i zapewne dziwnemi komentarzami zbarwioną. Gdy tymczasem w obczyznie rzecz *zniweluje* się łatwiéj, a potém, będziecie w powiecie waszym widywali się bez sprawienia zabawy nowiniarzom i plotkarzom.

— To pewna.

— A więc o tém wszystkiém potém, gdy Komelski powróci. Ale powiedz wszelako Leonie, a raczéj wyznaj: jakież owładło cię uczucie, gdyś ją dzisiaj obaczył?

— Dziwne... niedające się określić: byłem podrażniony, zły... ciekawy... i jestem w nieznośnym humorze, niby chory.

— Znalazłeśże ją piękniejszą?

— Bezwątpienia. Bo gdy mi ją zaślubiono, tom ani wiedział jak wygląda: widziałem w duszy mojéj tylko Klarysę, któréj pamięć dzisiaj nieprzezwyciężonym napełnia mnie wstrętem.

— Więc z zajęciem patrzałeś się na Michalinę?

— Z ciekawością. — Leon nie chciał wyznać, że z zajęciem.

— A jakież wrażenie czyni na tobie Poraj?

— Żadnego... obojętne, — odrzekł Leon podniesionym głosem. Michał dostrzegł wszelako, że usta skrzywił z niechęcią, że oczy jego zaiskrzyły się widocznie, a lica mocniejszy powlókł rumieniec.

— Nie przebiegłoż cię jakieś... jakieś draśnięcie zazdrości?

— Bynajmniéj! — Leon więcéj jeszcze pokraśniał, a Michał lekki uśmiech dymem cygara pokrył.

Przyjaciele długo jeszcze posiedzieli z sobą, rozmawiali, radzili; i Michał całkiem Leona przekonał: że powinien w *** pozostać i wygładzić ten chropawy a zarazem i dotkliwy stosunek, by za jego powrotem do kraju już zbyt *dysharmonijnym* nie dźwięczał odgłosem.

3.

......młodość się uśmiecha—
Ale burza na niebie, w sercu żałość cicha.

Jak Damoklesa oręż zawieszony nad głową,
Truje wiosny poranek.

J. I. Kraszewski.

Poranek był śliczny nazajutrz, i na promenadzie i przy źródle liczni mrowili się przechodnie: chorzy i niechorzy. Muzyka na trybunie brzmiała, i gwar i poszmer o cudnie zielone odbijał się lipy, akacje i kasztany.

Trzymając się pod ręce, nadeszli także Michał z Leonem. Pierwszy odrazu dostrzegł Ignasia przy niezabudkowych pannach Rumowskich.

W tém od strony źródła nadchodziła wdzięczna postać w popielatéj sukni, z takiémże okryciem, oszytém i przystrojoném frendzlą czarną, w kapelusiku białym z czarną koronką. Przy niéj szła w białych haftach pani Komelska, świeża, elegancka, wesołego spojrzenia, podając rękę poważnéj ciotce. Po drugiej stronie pani Michaliny jawił się pan Poraj w szaraczkowym paltocie i słomkowym kapeluszu: prawił coś tam, giestykulował, a Michalina ze skłonioną nieco głową, patrząc się na chodnik zwirowy, słuchała z widocznėm zajęciem. Chodnik był co tylko skropiony, by zapobiedz kurzowi, i podjęła nieco suknię fałdzistą i długą.

— Jakaż drobna nóżka! — wymówił Wroniewicz półgłosno.

Imienniczkę jego doleciał zadźwięk ojczystéj mowy, bo każde ucho pochwyci go zaraz, bo i jakaż to w nim cudna, anielska wieje harmonija! Zwłaszcza też w obczyźnie... Michalina ciemne podniosła oczy, spotkała wejrzenie Leona—ukłon—niby jęk głęboki przycichł na jéj ustach, pobladła śmiertelnie. W chwili potém opowiadano sobie między przechadzającemi się, że jedna z pań nagle zasłabła.

— Otóż widzisz!—wymówił Leon głosem wzruszonym, mroczny i blady, uprowadzając Michała gorączkowo w oddaleńszą, cienistą ulicę, — otóż widzisz! nie powinienem tu i jednéj chwili dłużéj pozostać.

— Powoli, bratku, powoli! Co nagle to po djable! Dowodem tego najlepszym twój przyspieszony *ożenek*.

— Zemdlała.

— Zemdlała, czyli tylko zasłabła przy pierwszém spotkaniu. Przy drugiém pobladnie jeszcze; przy trzeciém będzie już obojętniejszą. To jest przebieg rzeczy konieczny: lody przełamane zostały. Chodź, przejdziemy się górą, potem wrócimy znowu na promenadę i zobaczymy co porabia.

— Nie chcę więcéj kłuć ją w oczy.

— To przetrawić się musi: *co się stało odstać się nie może*, więc potrzeba wypić piwko, jakie się nawarzyło.

— Mam na sumieniu tę kobietę, ona jest nieszczęśliwą: zwichnąłem całą jéj przyszłość. Przypuszczałem, nic o niéj nie wiedząc, że zapomniała o mnie, że za mną nie bolała wcale, że mną pogardza... że za mąż poszła... że jest szczęśliwą... a przekonałem się inaczéj.

— No, no! Bardzo właściwe są wyrzuty, które sobie czynisz, przeto tém większą jest potrzeba, ażeby rzecz tę wcześniéj złagodzić.

— Jakąż ona o mnie musi miéć opiniję!

— Niebardzo pochlebną, to pewna. Ale stało się, powtarzam: przeszłość jest niepowrotną, a teraz wypada o przyszłości myśléć.

I rozmawiając daléj w ten sposób, weszli na górę, zkąd prześliczny otwierał się widok. Mgła niby leciuchną gazą zieloniuteńkie powlokła doliny;

wioski okoliczne barwnie jaśniały w blasku porannego słońca; daléj ciemne pociągnęły lasy, i sinawe gór dalszych pasmo. Niebo było bezchmurne, powietrze uroczéj świeżości. Przyjaciele wszelako nie zważali na te czary przyrody: Michał prawił, przekonywał, Leon słuchał i dozwalał przekonywać się.

Gdy powrócili na promenadę, widzieli siedzącą panią Michalinę na ławce, obok niéj ciotkę i siostrę, a przed niemi stał Poraj i coś tam opowiadał, jak zwykle. Michalina była blada, ale pogodnego oblicza. Leon tylko jedno ukośne na nią rzucił spojrzenie.

O parę kroków daléj spotkali Adama, w nader gustownym i wyszukanym stroju porankowym. Podali sobie ręce—i nawrócił z nimi.

— Nasza piękna *gwiaździsta* zasłabła, — były pierwsze jego wyrazy.

— Kiedy? — zapytał Michał, niby nie wiedząc o niczém.

— Przed pół godziną.

— Jakżeż to było?

— Widziałem tylko, jak Poraj ją ku ławce poprowadził: była bladziutka jak lilija, pochylona i dłonią przyciskała serce. Jakieś Niemki poczciwe pospieszyły z wodą kolońską, jakiś jegomość przyniósł szklankę świeżéj wody z *Kurhaus'u*, za co im podziękowała z nieoddanym wdziękiem i podaniem ręki. Słabość minęła, ale dotąd jeszcze odpoczywa na ławce.

— Dlaczegóżeś ty ze swoją nie pospieszył usługą? — zagadał Michał, — była śliczna pora do zjednania sobie względów.

— Uprzedzili mnie. Chciałem przywołać doktora, lecz pani Komelska dziękując uprzejmie oświadczyła, że bynajmniéj nie jest potrzebnym, że to jest lekka, chwilowa słabość, może w skutek wczorajszego upału; więc skłoniłem się i odszedłem.

— A pan Poraj?

— Pan Poraj miał minę wielce troskliwego. Chodźcie, wróćmy się!

— Czy znowu chcesz obok *pewnéj przedefilować* ławki?

— Nie inaczéj.

— My nie pójdziemy.

Adam pobiegł. Ale właśnie gdy przy końcu promenady nawrócili, spotkali panią Michalinę z jéj towarzystwem. Mówiła coś gdy się mijali, i niby lekko na ich widok zapłonęła.

— Otóż i wszystko na dobrym jest torze,—wymówił Michał zcicha do przyjaciela;—drugiéj sceny zemdlenia już pewnie nie będzie. Widzę i przekonywam się coraz więcéj, że moja pani drużka bardzo nierozsądną jest istotą.

W téj chwili dogonił ich Adam.

— A co? — zwrócił się Michał ku niemu.

— Już sobie poszli do domu: pod *Leuchtende Stern*.

— Prawdziwie *Leuchtende Stern!* — zaśmiał się Michał. Czy nie wiész kiedy Komelski powróci?

— Dziś wieczór.

— Chodź do nas na kawę.

Idąc z promenady pod *Goldene Krone*, potrzeba było obok *gwiazdy* przechodzić: był to dom ładny, w okoleniu kwiatów, krzewów, trawników, a z boku zdobiła go gruppa drzew starych, cienistych, pod któremi umieszczono stolik i krzeseł kilkanaście.

Przez otwarte okno na dole dostrzegli popielatą sukienkę.

Z okien ich pokoju, na piętrze, pod *Goldene Krone*, można było dokładnie dom ten i ogród widziéć, a mianowicie siedzenie pod drzewami. To też Adam usiadł przy otwartém oknie, zanim kawę podano, z czego Michał ubawił się szczerze. Leon zaś w kwaśnym był humorze i na ból głowy narzekał. Głowa bo najczęściéj za wszystko odpowiadać musi i wszystko na nią kładą. Dobrze jéj tak, bo dlaczegóż nie lepiéj całą kieruje machiną. Przecież od tego jest głową.

Przed *Leuchtende Stern* zebrała się orkiestra i zabrzmiał marsz z *Normy*.

— Witają pana Poraja, — ozwał się Michał.

Leon przystąpił do okna, lecz cofnął się zaraz: pod wspomnianą drzew gruppą ujrzał składną postać popielatą w białym czepeczku na głowie, i tuż obok niéj brodatego Poraja.

— Właśnie też *Fritzl* przyniósł koszyczek z różném pieczywem.

Adam skinął na chłopca, dał mu talara, by go zaniósł muzykusom i zażądał, by zagrali mazura i: *Denkst Du daran.*

Leon uśmiechnął się przymusowo, Michał zawołał:

— *Bravissimo!*

Fritzl z otrzymanym poskoczył rozkazem.

— Oszczędź sobie trudu *konkurencji*, Adasiu, — ozwał się Michał, — bo twoje zabiegi skutku nie odniosą: pan Poraj stoi gdyby mur. Chodź raczéj na kawę.

— To też właśnie na pożegnanie chwilowym marzeniom kazałem zagrać: *Pamiętasz?* A więc bądź zdrowa! *Farewell! Adieu!* — machnął ręką, usiadł przy stoliku i podjął filiżankę.

Właśnie też po za oknami piosenka starego rotmistrza zadźwiękła. (d. c. n.).